

Łukasz Warzecha: błagam, nie róbcie sobie jaj z ludzi

Łukasz Warzecha

Wybitni eksperci z zespołu Macieja Łaska mają zero publikacji naukowych na koncie, ale nie zająknie się o tym nikt z mediów sprzyjających rządowi. W Polsce na temat „naukowcy a Smoleńsk” wypowiada się Daniel Olbrychski, a w innych programach bryluje rozszalały Niesiołowski. Dziennikarzy nie da się traktować poważnie - pisze Łukasz Warzecha w najnowszym felietonie dla WP.PL.

Napisałem kiedyś, że ci, którzy zapraszają do swoich programów Stefana Niesiołowskiego, właściwie nie powinni być nazywani dziennikarzami. Nie wiem, kim w takim razie są, ale wiem, że sensu to nie ma żadnego i z dziennikarstwem wiele wspólnego też nie ma.

Stefan Niesiołowski ma jakiś poważny problem. Przyglądając się jego zachowaniom, można przypuszczać, że jest to problem natury stricte medycznej (choć oczywiście pewności nie ma). O pewnej, by tak rzec, nadpobudliwości Niesiołowskiego wiedzą doskonale zarówno jego partyjni koledzy, jak i wszyscy dziennikarze. Dziennikarze wiedzą też znakomicie, że uzyskanie od tego akurat pośła PO merytorycznej wypowiedzi na jakikolwiek właściwie temat jest niemożliwe. I tak wszystko zawsze sprowadzi się do tego, że PiS niszczy Polskę, Platforma jest jedyną szansą, Donald Tusk jest mężem opatrnościowym, a Jarosław Kaczyński to następca Hitlera.

Mało kto z publiczności pamięta zapewne, że Niesiołowski jest jednak zarazem szefem sejmowej Komisji Obrony. Teoretycznie to bardzo ważna [komisja](#), tak jak ważną sprawą jest bezpieczeństwo państwa. W obronności dzieje się wiele istotnych rzeczy, by przypomnieć choćby o zabiegach rządu wokół kontrowersyjnej konsolidacji przemysłu obronnego czy obciążeniu zaplanowanych wcześniej funduszy na modernizację armii w związku z oszczędnościami budżetowymi. Jednak, jako żywo, nie przypominam sobie ani jednego programu publicystycznego czy nawet jednej migawki w programie informacyjnym, gdzie zapytano by Niesiołowskiego o sprawy obronności. Gdyby takie pytanie padło, okazałoby się być może, że szef Komisji Obrony nie ma o tych sprawach zielonego pojęcia. Możemy jednak tylko spekulować, ponieważ dziennikarze o to akurat nigdy go nie pytają.

Kiedyś gawędziłem po przyjacielsku z bardzo skądinąd miłą i profesjonalną dziennikarką telewizji publicznej, prowadzącą rozmowy z politykami. „Tak się zastanawiam, czy nie zaprosić Niesiołowskiego i nie zacząć z nim rozmawiać o wojsku. To mogłoby być zabawne” – powiedziała. Niestety, w konwencji żartu, uznając za oczywiste, że nikt Niesiołowskiego w tej roli nigdy nie zaprosi. A szkoda.

Ostatnio Stefan Niesiołowski wypowiedział się na temat prof. Kleibera, żądając od niego, aby podał się do dymisji, własnoręcznie zdekapitował, następnie dokonał autodefensacji, po czym oddał się na pożarcie krukowi. Było to pokłosie najnowszej medialno-politycznej ofensywy, skierowanej przeciwko naukowcom współpracującym z Antonim Macierewiczem.

Ta z kolei zaczęła się od kpiarskiego tekstu Agnieszki Kublik w „Gazecie Wyborczej”, w którym ta bardzo zasłużona dziennikarka gazety, której nie jest wszystko jedno, wyciągnęła z zeznań naukowców, złożonych w prokuraturze, fragmenty pasujące jej do tezy i na ich podstawie dowiodła, że mogliby najwyżej pracować nad wypadkiem na sklepowym parkingu, a nie nad katastrofą samolotu prezydenta. Nawiasem mówiąc, pozostaje niewyjaśniona kwestia, skąd pani Kublik miała wspomniane zeznania, które przecież są objęte tajemnicą śledztwa. Stawiam na to, że znalazła je w windzie. Albo na stacji benzynowej obok cmentarza.

Rzecz jasna, nie ma nic złego w pytaniu o kompetencje naukowców z zespołu parlamentarnego. Przeciwnie – dobrze jest je zweryfikować. Obawiam się jednak, że ta weryfikacja jest prowadzona nieco, by tak rzec, nierzetelnie.

Tu anegdota. Już dawno temu, gdy na scenę publiczną wkroczył prof. Binienda, zajęła się nim Monika Olejnik, narzekając w jednym ze swoich programów, że to jakiś nieznyany człowiek bez dorobku. Traf chciał, że wkrótce potem miałem okazję spotkać się z panią redaktor w zamkniętym gronie. W trakcie tego spotkania wyjąłem tablet, wszedłem na stronę Uniwersytetu Akron – uczelni, gdzie pracuje prof. Binienda – i podetknąłem redaktor Olejnik pod nos obfity spis jego publikacji, pytając, czy wykonanie tych kilku prostych czynności ją przerosło. Pani redaktor ogromnie się zdenerwowała, ale żadnej przekonującej odpowiedzi nie usłyszałem.

Dzisiaj dziennikarze niektórych mediów za decydujący uznają dorobek naukowy członków zespołu. W porządku, to ważne kryterium. Rozumiem jednak, że na tych samych zasadach powinni mu podlegać wszyscy, biorący udział w sporze, a więc i ludzie Macierewicza, i członkowie komisji Millera (których część przeszła do zespołu Laska). Tak się składa, że podsumowania dorobku naukowego dokonał bloger „Peemka”, odwołując się do powszechnie akceptowanych kryteriów, czyli dwóch rozbudowanych baz danych o dokonaniach i publikacjach naukowych: Scopus (50 milionów wpisów) oraz ISI, obecnie części Healthcare & Science Thomson Reuters. Obie bazy pozwalają ustalić, ile i jakiego typu publikacji posiada dany członek naukowej wspólnoty. Bloger wziął pod uwagę jedynie naukowców z tytułami doktora lub profesora, zajmujących się naukami ścisłymi, związanymi z fizyką. Odpadli zatem prawnicy czy lekarze. Rezultat jest zaskakujący. Wśród czterech takich członków zespołu Macierewicza, każdy ma po kilkadziesiąt publikacji w wysoko klasyfikowanych pismach naukowych i wiele cytowań w dziedzinach dotyczących m.in. fizyki czy inżynierii materiałów. Również czterech spełniających wspomniane kryterium członków komisji Millera, z Maciejem Laskiem włącznie, ma takich publikacji, a więc i cytowań, zero. Null. Nic. Pan Lasek był jedynie współautorem sześciu papierów konferencyjnych. Innymi słowy – po jednej stronie mamy ludzi, biorących czynny i udokumentowany udział w międzynarodowym obiegu naukowym, po drugiej – jakieś naukowe no name’y z zerowym własnym dorobkiem.

Rozumiem, że teraz koledzy dziennikarze, zapraszający chętnie Macieja Laska, powinni przypuścić atak. Jak to? Gdzie pana własne kompetencje? Dlaczego otoczył się pan osobami

o tak marnych dokonaniach naukowych? Ale takich pytań jakoś nie odnotowałem. No, chyba że ten dorobek nie jest jednak taki ważny.

Momentami rzeczy przyjmują obrót niemal kabaretowy. Oto na przykład dziennikarka Polsat News Agnieszka Gozdyra zaprasza do swojego programu prof. Glińskiego i aktora Daniela Olbrychskiego. Dyskusja ma dotyczyć udziału naukowców w pracach zespołu parlamentarnego. Jak wiadomo, Daniel Olbrychski ma olbrzymie kompetencje w tej dziedzinie, jest uznanym ekspertem w dziedzinie wytrzymałości materiałów i fizyki lotu, a ponadto uchodzi za powszechnie uznawany autorytet w świecie naukowym.

To już nawet nie jest niepoważne. To po prostu Monty Python skrzyżowany z Kabaretem Moralnego Niepokoju. Groteska do szczęścia.

Żeby było jasne: ja się nie domagam, aby Monika Olejnik, Kamil Durczok czy Agnieszka Gozdyra zrezygnowali z własnego poglądu na katastrofę smoleńską czy jakąkolwiek inną kwestię, wokół której toczy się spór polityczny. Ja się już nawet nie domagam, żeby w ich programach czy w tekstach pisanych przez dziennikarzy kibicujących stronie rządowej były dokładnie odmierzone proporcje głosów za i przeciw. Nie twierdzę też, że tak jest w przypadku strony, krytykującej rządową wersję zdarzeń. Są różne przypadki. Jeśli ktoś ogląda TV Republika, wie, że wręcz obsesyjnie dba się tam o wypośrodkowanie proporcji zapraszanych gości, podczas gdy „Gazeta Polska” wyraźnie lansuje jedną wersję zdarzeń. Mniejsza z tym.

Ja bym tylko chciał, żeby koledzy po fachu, pracujący w mediach rzekomo poważnych, przestali robić sobie z odbiorców jaja na poziomie staruszka Jakuba Wojewódzkiego. Róbcie swoje, brońcie rządu, pokazujcie własne poglądy, ale błagam: nie traktujcie odbiorców jak ostatnich kretynów, bo to się mści na nas wszystkich – dziennikarzach.

Łukasz Warzecha specjalnie dla WP.PL